Alfons Józef Skowronek

Teologia

w czasach kryzysu

Teologia
w czasach kryzysu

Alfons Józef Skowronek

Teologia

w czasach kryzysu

t. 1

Wstęp 5

Ekumeniczne sieci 9

1 Krytyczna świadomość wiary

Poszukiwanie metody 27

Wolność poszukiwań 43

Krytyczna świadomość wiary 63

Urząd Nauczycielski i teologowie 74

Sekularyzacja wyzwaniem dla teologów 83

2 Sobór

Od Vaticanum I do Soboru Ekumenicznego 103

Wyzwania współczesności 116

Ekumeniczny dla całego Kościoła 126

Początek początku 138

Communio 159

Źródła i korzenie 171

Od Chrystusa do diakonatu 182

Misja 199

Impulsy, realizacje i perspektywy *218*

Bogactwo wielości w Kościele 231

3 Teologowie

Karl Barth — tytan teologii 239

Hans Urs von Balthasar — teolog uniwersalnej nadziei 248

Dietrich Bonhoeffer — imitatio Christi 263

Yves Congar — promotor reformy w Kościele 272

Karl Rahner — nauczyciel teologii 282

Hans Kiing — krytyk, rozmiłowany w Kościele 301

Roger Schutz — promotor pojednania 313

4 **Loci**

Bóg jako Matka 327

Maryja — remedium na dziś? 335

Święta równość domaga się rozróżnień 360

Kapłaństwo kobiet 378

Puchar na cześć sumienia 387

Celibat 392

Perspektywy kapłaństwa 406

Świeccy 420

Mysterium iniquitatis 439

Zmaganie z rygoryzmem 447

Grzech przeciw Duchowi Świętemu 455

Śmierć i grzech 462

Sakramenty 481

Kościół jako prasakrament 490

Praca 510

Indeks 519

Wstęp

Publikowane w dwu tomach prace w swej większości nie powstawały jako ambitne przyczynki z naukowego warsztatu, spisywane były głównie z praktyczną myślą pedagogiczną akademickiego nauczyciela, który je kreślił raczej w formie skryptów do wykładów dla studentów na założonym przez siebie kierunku teologii ekumenicznej w ówczesnej Akademii Teologii Katolickiej na warszawskich Bielanach. Andrzej Kowzan był jednym ze słuchaczy tej studenckiej formacji i to on wpadł, po wielu latach, na koncept książkowego wydania owych teologicznych etiud, w dużej ich części publikowanych i rozsianych w przeróżnych periodycznych mediach. Prowadził wprawdzie ze mną wiele konsultacji, lecz pomysłodawcą edycji był on sam. I nie tylko jej inicjatorem i reżyserem lecz i interpretatorem, bo jakżeż inaczej nazwać zebranie i rzeczowe systematyczne uporządkowanie w tematyczne bloki owego zasiewu myśli z ekumenicznej wiosny okresu posoborowej recepcji Drugiego Soboru Watykańskiego (1962-1965)! Ograniczył się przy tym nie tylko do samej schedy ery Soboru, lecz włączył także późniejszy plon autorski aż po dzień dzisiejszy, albowiem zawarte w tym wydaniu prace towarzyszyły wszystkim dalszym ważniejszym tematom podejmowanym przez autora po dziś dzień.

Za ten ideowy i mozolny wkład jestem mu szczerze zobowiązany. Wymienić należy przy tym i tę okoliczność, że Kowzan napisał ponadto obszerny wstęp wprowadzający w zakres i meritum mojego teologicznego warsztatu.

Niniejszy, dwutomowy przegląd teologicznych wydarzeń nie jest więc sam w sobie bibliograficznym ewenementem, lecz raczej skromnym zwierciadłem ustawionym na szlakach, po których Kościół za naszych dni podąża.

Alfons J. Skowronek

Ks. prof. Alfonsa Józefa Skowronka, kierownika katedry teologii ekumenicznej Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, bliżej chyba przedstawiać nie trzeba: czyni to zresztą on sam w rozmowie poniżej. Wypada natomiast bodaj w kilku słowach scharakteryzować jego twórczość teologiczną, która jest wyraźnie ukierunkowana na popularyzację problematyki teologicznej w szerokich kręgach społeczności chrześcijańskiej w Polsce. Wiedza i erudycja predestynują ks. prof. A. J. Skowronka do tworzenia dzieł o charakterze syntetycznym, co jednak nie jest chyba do pogodzenia z jego temperamentem publicysty, bardzo zresztą płodnego, zaznaczającego swoją obecność na łamach bez mała wszystkich pism katolickich (i nie tylko) w Polsce, zarówno kościelnych, jak też wydawanych przez ugrupowania katolików świeckich. Dzieje się to może ze szkodą dla pracy sensu stricto naukowej, ale kto wie czy niosąc kaganek teologii już nie pod strzechy, ale pod dachówki domów i plebanii, nie oddaje on w ten sposób większej przysługi Kościołowi.

Ks. Profesor uprawia ten typ teologii, której charakterystyczną cechą jest „otwarcie się na nowe problemy", która „zachowuje żywy kontakt z Urzędem Nauczycielskim i z wiarą wierzącego ludu", a która jednocześnie nie stroni od podejmowania „wyzwań swoich czasów i udzielania na nie odpowiedzi". Wszystkie te określenia pochodzą z rozdziału traktującego o wolności poszukiwań teologicznych, w którym ks. A. J. Skowronek, mówiąc o zadaniach współczesnej teologii, wyraził jednocześnie swoje naukowe credo. Jego teologia jest teologią żywą, służebną wobec duszpasterstwa i uprawianą w dodatku w sposób na wskroś nowoczesny, bo czerpiącą obficie z dorobku myśli zachodniej i to nie tylko katolickiej, ale — co trzeba podkreślić — także protestanckiej. Jest bowiem ks. prof. A. J. Skowronek teologiem-ekumenistą con amore, świadomym tego, że uprawianie teologii ściśle konfesyjnej, w ramach tylko wyznania, wykluczające dialog i wymianę z teologami spoza rodzimego Kościoła, stanowi już dzisiaj przeżytek. Charakterystyczne, że czołówkę polskich teologów — a do niej zalicza się też ks. Skowronek — tworzą naukowcy znani ze swej otwartej postawy, będący wybitnymi ekspertami w zakresie bratnich teologii i co jest pewną prawidłowością — biorący aktywny udział w

ruchu ekumenicznym na szczeblu krajowym jak i międzynarodowym (m. in. abp prof. Alfons Nossol, o. prof. Wacław Hryniewicz OMI, o. prof. Stanisław Celestyn Napiórkowski OFMConv.).

Przedstawiając swoje tezy ks. Profesor dość często wspiera się autorytetem największych sław teologicznych, przy czym najchętniej powołuje się na śp. o. Karla Rahnera, swego, jak się wyraził, nieocenionego mistrza, który był jednym z konsultantów i recenzentów jego rozprawy habilitacyjnej poświęconej pojęciu sakramentu we współczesnej teologii ewangelickiej, którą to pracę obronił w r. 1970 na Wydziale Teologii Katolickiej Uniwersytetu w Münster (RFN). Podobnie jak jego mistrz, bezkompromisowo i odważnie głosi to, co uznaje za prawdę, nie szczędząc przy tym słów krytyki pod adresem swego Kościoła.

Tutaj mała dygresja. Mianem odważnego przychodzi określić teologa, który bynajmniej nie proponuje nowych metod w teologii czy też nie stawia problemów szokujących społeczność katolicką, choćby takich, jakie wybuchają przy okazji podróży papieskich, lecz teologa, który ni mniej, ni więcej, tylko upomina się o soborowe oblicze Kościoła, o realizację i recepcję Vaticanum II. Nie jest oznaką zdrowej sytuacji, kiedy teologowi nieustannie powołującemu się na Magisterium przylepia się etykietkę buntownika tylko dlatego, że głosi poglądy niepopularne albo niewygodne. W sytuacji samozadowolenia nie zauważa się często naszych zaniedbań i zapóźnień, dlatego też, zadaniem teologa, jak uważa i czyni ks. prof. A. J. Skowronek, jest przypominanie o tym. Ks. Profesor nie waha się ujawniać rzeczy bolesnych i wstydliwych w naszym Kościele i głosić, że ma on jeszcze dużo do zrobienia choćby np. w kwestii promocji laikatu (ciekawe propozycje ks. Profesora zmierzające do odpowiedniego wykorzystania ludzi świeckich w Kościele).

Prezentowany wybór rozpraw i publicystyki teologicznej tworzą systematycznie ułożoną całość w 2. t. Artykuły koncentrują się na różnej wagi wybranych zagadnieniach, nie tyle je wszechstronnie omawiając, co zwracając uwagę na niektóre istotne dziś aspekty, nie tyle je wyczerpując, co mnożąc i stawiając nowe pytania pozostawione do przemyślenia czytelnikowi.

Wydaje mi się, że teologia w czasach kryzysu dostała zadyszki, czyli nie radzi sobie z formułowanymi wewnątrz i na zewnątrz Kościoła, kwestiami. Stała się „deficytowa", bo funkcjonuje w zamkniętych kręgach. Brak jest u nas bowiem teologii dla nieteologów, mało jest wydawnictw adresowanych do szerokiego kręgu odbiorców, które w sposób przystępny, a jednocześnie atrakcyjny (nie apologijny) przybliżałyby współczesnemu człowiekowi prawdy wiary, zapładniały do dyskusji i przemyśleń, prowadziły go do spotkania z Bogiem.

Andrzej Kowzan

Ekumeniczne sieci[1]

Andrzej Kowzan: Jest Ksiądz Profesor najwybitniejszym polskim teologiem. Proszę powiedzieć, jak się zaczęła się to zainteresowanie teologią — problematyką ekumeniczną...?

Alfons J. Skowronek: Trudno o odpowiedź jednoznaczną. Wszystko to przyszło niejako od zewnątrz, było procesem zdalnie sterowanym. Osobiście (współ-) odpowiedzialny czuję się jedynie za wybór studiów teologicznych, konkretniej: za zamiar zostania księdzem. Jeżeli pamięć mnie nie zwodzi, w ciągu całych pięcioletnich studiów na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w salach wykładowych słowo „ekumenizm" nie padło ani razu. Nie była też wykładana teologia porównawcza czy nauka o wyznaniach — dyscypliny na Zachodzie od dziesiątków lat znane. Nie znaczy to, że teologię przekazywano nam antyekumenicznie. Akcentów czy animozji antykonfesyjnych sobie nie przypominam. Chrześcijanie innych Kościołów byli po prostu nieobecni, w cieniu wielkiego Kościoła katolickiego w oczy nie wpadali, sami też pewnie kontaktów z nami nie szukali. Wcale nie wyglądało na to, iż do pełnego szczęścia potrzebne byłoby im już tylko połączenie się z Rzymem. Studia ukończyłem w Roku Maryjnym 1954. O Soborze nikt jeszcze nie myślał, choć myśl ekumeniczna na Zachodzie dawno była już żywa, szczególnie w Niemczech.

Na zderzenie z interkonfesyjnymi realiami nie czekałem długo. Po opuszczeniu Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie, kształcącego duchownych dla diecezji katowickiej, wyznaczono mi wakacyjne zastępstwo w Wiśle Śląskiej, jednym z najpoważniejszych skupisk polskiego protestantyzmu. Z miejsca odczułem dotkliwy brak przygotowania ekumenicznego i swoistą bezsilność w tej katolickiej diasporze, gdzie ewangelicy stanowili wtedy większość. Słuchałem relacji moich katolików, wśród nich wielu wczasowiczów, o oratorskim kunszcie kazań ks. Adama Wantuły, późniejszego biskupa

[1] Por. *Ekumeniczne iskry*, w: *O wierze i teologii współczesnego Kościoła. Z ks. prof. Alfonsem Skowronkiem rozmawia Andrzej Kowzan*, s. 9-22, Warszawa 1989.

luterskiego; zasypywano mnie pytaniami, wobec których stawałem bezradny. Po kilku tygodniach opuszczałem Wisłę z tępym odczuciem, że coś trzeba zrobić, byłem jednak bez reszty przygnębiony. Był to jeden z moich najpoważniejszych kapłańskich kryzysów.

W okresie studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, dokąd wysłano mnie (nie pytając o zgodę ani kierunek teologicznych zainteresowań) na specjalizację w zakresie teologii dogmatycznej, teologia ekumeniczna też nie była pisana z dużej litery. Ks. Bogusław Waczyński, jezuita, wykładał tam wtedy wybrane zagadnienia z teologii Wschodu, których jednak nie słuchałem, gdyż mnie nie obowiązywały. W pamięci utkwiły mi jednak znakomite wykłady ks. Mieczysława Żywczyńskiego, który na warsztat wziął sobie wtedy Reformację XVI wieku. Jej wewnętrzne i społeczno-polityczne mechanizmy, potrafił przekazywać w sposób wręcz porywający. Wydaje się, że wtedy połknąłem ekumenicznego wirusa, który jednak przebyć musiał okres kilkuletniej inkubacji, nim wybuchła ekumeniczna gorączka. A nastąpiło to w latach 1968-1970 w trakcie uzupełniania moich studiów w Holandii, Belgii, Francji i RFN. E. H. Schillebeeckx podsunął mi dokładniej jeszcze nie sprecyzowaną myśl zajęcia się Eucharystią w aspekcie międzywyznaniowym, głównie w nauczaniu teologii reformowanej. Rzecz nabrała kształtu w Instytucie Ekumenicznym J. A. Möhlera w Paderborn, w którym powstawała moja praca habilitacyjna, przedstawiona później radzie Wydziału Teologicznego Uniwersytetu w Münster, a traktująca o pojęciu sakramentu we współczesnej teologii ewangelickiej. Jednym z recenzentów tej rozprawy był wielki Karl Rahner.

Ot i wszystko. Chyba że dodałbym jeszcze, iż przed wyjazdem za granicę z ekumenią bratać jąłem się coraz śmielej dzięki s. Jonannie Lossow, która umiejętnie zarzucała ekumeniczne sieci na różnych księży.

— Wróćmy w takim razie do studiów Księdza Profesora w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym, na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego i w KUL. Proszę powiedzieć o

ówczesnych typach i sposobach wykładania teologii, o profesorach (Konstanty Michalski, Ignacy Różycki, Wincenty Granat..., Karol Wojtyła).

— Studia w Krakowie to bardzo ciekawy okres w moim życiu. Panowała tam pewna nader szczęśliwa dwutorowa: formacja duchowa dobywała się w Śląskim Seminarium Duchownym, prowadzonym jak na tamte czasy przez, w najlepszym tego słowa znaczeniu, bardzo liberalnych Księży Misjonarzy z krakowskiego Kleparza i Stradomia, intelektualną zaprawę natomiast zdobywaliśmy na Wydziale Teologicznym UJ. Seminarium duchowne było swoistego rodzaju bursą dla nas, żaków Wszechnicy Jagiellońskiej. Dawało to sporą możliwość ruchów w wyborze wykładów czy absencja na zajęciach prowadzonych nieciekawie. Wygospodarowane godziny spędzałem głównie w Bibliotece Jagiellońskiej, na własną rękę prowadząc studia nad problemami, do których inspirowali niektórzy profesorowie. Niemało czasu trawiłem na zwiedzaniu muzeów i zabytków w Krakowie, też na własny rachunek i odpowiedzialność; były to niezapomniane studenckie wagary.

Znakomitego mediewisty ks. Konstantego Michalskiego nie poznałem, już bowiem nie żył. Fascynował nas natomiast ks. Marian Michalski swymi oryginalnymi i niezwykle krytycznymi ujęciami teologii fundamentalnej. Fachową i głęboką wiedzą odznaczały się wykłady ks. Kazimierza Kłósaka, których słuchaliśmy z prawdziwym przejęciem, gdyż stanowiły świetną konfrontację z filozofią i światopoglądem marksistowskim, choć nieraz trudno nam było podążać za wnikliwymi analizami filozoficznymi profesora i jego wyspecjalizowaną terminologią. Na jego seminarium napisałem moją dyplomową pracę magisterską. Ks. Ignacy Różycki był niepospolitym analitykiem na szczeblu teologii dogmatycznej. Znakomity neoscholastyk, którego wykłady były majstersztykiem teologicznej precyzji i koncepcyjnej zwartości. Surowa ta dyscyplina myślowa wzniecała podziw, ale serc nie rozgrzewała i nie pociągała. Z dużym zaskoczeniem i zaniepokojeniem przyjąłem decyzję moich władz diecezjalnych, zlecających mi, bezpośrednio po święceniach kapłańskich, studiowanie właśnie dogmatyki

na KUL, do której, po suchych wykładach mistrza Różyckiego, skłonności raczej nie miałem.

Ks. Wincenty Granat na KUL był mężem żarliwej wiary i szerokich horyzontów myślowych. Krzesał bodźce, nie krępował swobody ruchów u piszących prace pod jego kierunkiem. Był świetnym promotorem dla ludzi już nieco wyrobionych, umiejących samodzielnie poruszać się po różnych rewirach teologii. Kontaktów z innymi profesorami nie tylko nie ograniczał, lecz je stymulował. I tak moja praca doktorska, komponowana na jego seminarium, powstała z inspiracji dla mnie niezapomnianego ks. Antoniego Słomkowskiego, który pośrednio natchnął mnie myślą ekumeniczną, podsuwając mi temat wręcz frapujący: „Sakramenty i Kościół po encyklice *Mystici Corporis*". Temat z miejsca zapalił ekumeniczne światła, choć w pracy wyraźniej się to jeszcze nie uwidoczniło. Naczytałem się jednak takich gwiazd teologii, jak Rahner, Schillebeeckx, Semmelroth, Ratzinger *e tutti quanti*.

Z ks. doc. Karolem Wojtyłą na KUL nie miałem większych styczności, bo wykłady prowadził na Wydziale Filozoficznym. Głoszę jednak wszem i wobec, że jestem uczniem Papieża, albowiem uczył mnie katolickiej etyki społecznej jeszcze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ja byłem wówczas najstarszym studentem (na V roku teologii), a on najmłodszym wykładowcą. W ciągu jednego roku przedmiot ten sukcesywnie wykładało aż czterech profesorów: ks. Jan Piwowarczyk, ks. bp Bolesław Kominek, ks. Andrzej Bardecki i ks. Karol Wojtyła — jeden lepszy od drugiego.

— Studiował Ksiądz Profesor w zagranicznych ośrodkach naukowych. Proszę podzielić się wrażeniami z kontaktu z tamtą nauką-teologią. Był Ksiądz Profesor słuchaczem i współpracownikiem wielu wybitnych teologów, filarów współczesnej nauki, proszę opowiedzieć o tych doświadczeniach.

— Najsilniej w pamięć wrył się mój blisko dwuletni pobyt w Paderborn, w tamtejszym Instytucie Ekumenicznym J. A. Möhlera.

Jest to wspaniały ośrodek naukowy, stwarzający znakomitą atmosferę do badań prowadzonych raczej indywidualnie. Księgozbiór wręcz idealny, zdolny zaspokoić każdą ekumeniczną zachciankę, z dostępem do tego arsenału wiedzy dniem i nocą dla mieszkających na miejscu. Natrafiłem tam na wytrawnego ekumenistę, nieżyjącego już prof. Alberta Brandenburga, z którym z miejsca zawiązała się serdeczna nić współpracy. Był przewodnikiem nader wymagającym: codziennie konsultacja, czasem dwukrotnie, w soboty czytanie napisanych fragmentów i ich redakcyjna adiustacja, a ponadto znakomite wypady w teren, do których profesor nieustępliwie mobilizował, to znaczy: w grę wchodziło składanie wizyt wybitnym uczonym na obszarze całych Niemiec Zachodnich. Poznałem dzięki temu plejadę myślicieli katolickich i ewangelickich. Istna przygoda intelektualna! Ustawicznie pytano o źródło zainteresowań teologa-Polaka tak szczególną problematyką protestancką — pojęciem sakramentu u niektórych współczesnych teologów ewangelickich. Odpierałem niezmiennie, że względy narodowościowe nie odgrywają tu żadnej roli; sakrament należy do samego nerwu ekumenicznego dialogu i cieszę się, że ten problem studiować mogę w ojczyźnie Reformacji.

Ogromnie sobie cenię liczne i zawsze płodne dialogi z Karlem Rahnerem, który był szarą eminencją moich habilitacyjnych poszukiwań, by ostatecznie stać się recenzentem pracy, której z zaangażowaniem towarzyszył od początku do końca. Złożyłem mu za to pośmiertnie hołd we wstępie do polskiego wydania jego ulubionego „Małego słownika teologicznego". Ten klasyk niemieckiej teologii miał niepospolite wyczucie diagnostyczne. Mimo że szczegółowa strona problematyki była dlań nieraz zupełnie obca, znał kierunek ruchu pewnie prowadzący do celu. Użyte słowo „dialog" właściwie nie oddaje istoty rzeczy. Z mistrzem Rahnerem nie tyle prowadziłem dialogi, ile stawałem się zasłuchanym odbiorcą prowadzonych przezeń monologów, a raczej solilokwiów, czyli rozmów z samym sobą, do czego nietrudno było go sprowokować. Moja rola ograniczała się do podania z lekka tematu, ażeby od razu stać się świadkiem erupcji sekwencji, wynurzeń,

utrzymywanych w niekończących się frazach, wygłaszanych z reguły w trybie warunkowym, zaskakujących na siebie, skrzących się od sugestii, propozycji, a otwierających szeroko oczy na nieskończone aspekty i warianty jednego i tego samego problemu, a przy tym spostrzeżeń, zawsze ostro krytycznych. W trakcie tych spotkań człowiek równocześnie malał i rósł, i z przebiegu takiej konfrontacji długo nie mógł się otrząsnąć.

Biesiady takie, a było ich sporo (Ratzinger, Fries, Küng, Schmaus, Scheffczyk, Kasper, Käsemann, Diem i wielu innych) syciły i umacniały przekonanie o wielkości teologii i pokornej wobec niej postawy służebnej. Więcej: że teologia, czyli poznawanie Boga i człowieka — bo jednego i drugiego odłączyć nie sposób — jest formą, i to bardzo szczytną, kultu należnego Bogu.

Do najbardziej intrygujących przygód ekumenicznych zaliczam dwukrotny pobyt w Jerozolimie, w Międzynarodowym Instytucie dla Zaawansowanych Studiów Ekumenicznych „Tantur". W gronie uczonych z całego świata jeden semestr poświęciłem badaniom nad prymatem Piotrowym w aspekcie ekumenicznym, w drugim natomiast pracowałem nad podstawową problematyką zbliżeń między judaizmem i chrześcijaństwem; szczególnie interesujące i owocne okazały się tu ścisłe kontakty z profesorami Uniwersytetu Hebrajskiego, m.in. z Flusserem i Werblowskym oraz ze światowej sławy teologiem-publicystą, Salom Ben Chorinem.

— Proszę powiedzieć o swoich pierwszych dokonaniach naukowych: praca magisterska, doktorska, habilitacyjna, publicystyka naukowa, wydawnictwa książkowe...

— Powiem, że praca magisterska, doktorska czy nawet habilitacyjna niewiele mają wspólnego z nauką. Są to swego rodzaju wprawki i ćwiczeniówki lub skoki wzwyż przy coraz wyżej podnoszonej poprzeczce. Moim studentom powtarzam, ażeby te przeszkody brali z lekkością, a przede wszystkim sprintem, czyli szybko. Daję im przykład z siebie, że doktorat zrobiłem w ciągu jednego roku, a habilitację w niespełna

dwa lata (nie mówiąc o drugiej „magisterce", którą u ks. Granata popełniłem w sześć tygodni). Wcale się tym nie chwalę, w uzasadnieniu niezmiennie powołuję się na moja od urodzenia rozleniwioną naturę: ponieważ pracować mi się nie chce, każdą robotę odwalam możliwie bardzo szybko. W naszej rzeczywistości polskiej jest to wręcz fatalne nieporozumienie, gdy ludzie habilitują się w 50 roku życia. Po uzyskaniu habilitacyjnego papierka w tym wieku człowiek gra właściwie na pozycji spalonej i niczego poważniejszego dla nauki już nie dokona. Albo: weźmy nasze nominacje profesorskie: często tytuły te Rada Państwa nadaje mężom w wieku nieomal sędziwym. W Niemczech Zachodnich wcale nie odosobnione jest zjawisko, że ktoś profesorem zostaje przed 30 rokiem życia, habilitował się więc znacznie wcześniej.

Pyta pan o publicystykę naukową, wydawnictwa książkowe. Nie będę się w to wdawał. Kto chce, łatwo może przekonać się o ich liczbie i jakości. Niedawno ujęty i szczerze ucieszony poczułem się wypowiedzią pewnej osobistości znanej mi z nazwiska, że nie jest zachwycona tym, co ks. Skowronek pisze w określonej kwestii. Ależ to święta prawda! Ja sam swoją twórczością nie tylko nie jestem zachwycony, ale głęboko zdeprymowany i w stosunku do siebie samego formułuję pytania bezlitośnie świdrujące. Jeżeli św. Tomasz z Akwinu pod koniec swego życia, spoglądając na swoją *Summę* teologiczną i inne dzieła, stwierdził, że wszystko to jest słomą nadającą się na spalenie, nie wyrzekł tego z pewnością w poczuciu pojętej po faryzejsku pokory. Cóż dopiero my! Sługami niegodnymi pozostaniemy i wtedy, mówi Jezus, gdy wykonaliśmy wszystko, co leżało w naszej mocy.

Podejmując pański wątek na temat liczby publikacji teologicznych, wtrącę uwagę o pewnym rodzimym krytyku, który stwierdził, że jest ich za dużo i nawet mamy do czynienia z ich zalewem. Krotochwilny ten raczej werdykt sparuję św. Tomaszem, który 700 lat temu był tego samego zdania. Nawiasem wspomnę, że żebraczy mnich z wysokiej szlachty, jeden z najgenialniejszych myślicieli średniowiecza, za swego życia miał nie lada trudności: posądzany o nowinkarstwo, później zawrotnie awansował: przez tenże Kościół ogłoszony został oficjalnie

obowiązującym mistrzem w nauczaniu teologii. Otóż Akwinata skarżył się, że nadprodukcja na rynku wydawniczym nie tyle jego studentom pomaga, ile wprowadza w ich umysły mnóstwo zamieszania. Dla skończenia z panującym rozgardiaszem sam postanowił, jak mówi w przedmowie do swej „Summy", zwięźle i jasno (*breviter ac dilucide*) podać to, czego wymaga rzecz. W wyniku tego ze wszech miar chwalebnego zamiaru światło dzienne ujrzało wielotomowe dzieło o wielu tysiącach stronic. A więc i św. Tomasz nie mógł był uporać się z nieprzebranym materiałem, stawiającym najwidoczniej zacięty opór.

— Był Ksiądz Profesor wykładowcą w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym, jest profesorem w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Jeździ Ksiądz Profesor z wykładami i odczytami do wielu ośrodków naukowych i środowisk. Proszę podzielić się tymi doświadczeniami.

— Pracę w Seminarium Duchownym wysoko sobie ceniłem i solidnie do niej podchodziłem, zdając sobie sprawę z jej ciężaru gatunkowego. Tam przecież modeluje się i profiluje format przyszłych kwalifikowanych świadków wiary. Jestem przekonany, że wykładowcami w tych zakładach kształcenia winni być ludzie o najwyższym standardzie przygotowania naukowego.

Praca profesora Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie ma inny charakter. Nie jest skrępowana, jak w seminarium, określonym tokiem zajęć zobowiązującym wykładowcę do terminowego wyłożenia z góry zaplanowanej partii materiału. Jest się tutaj pracownikiem naukowym, wolnym i suwerennym. Moim studentom wpajam myśl, że na uniwersytecie czy akademii wcale nie jest ważne zakończenie, lecz zrobienie dobrego początku. Albowiem studia nigdy nie będą miały swego końca (mieć nie powinny). Po uzyskaniu dyplomu właściwe studia dopiero zostają zainaugurowane, chociaż teraz prowadzone będą już własną metodą i ze wzmożona odpowiedzialnością. Zawsze z dużą ulgą słucham zwierzeń świeżo dyplomowanych absolwentów, że uzyskany żmudną pracą dyplom tylko z trudem zakrywa wewnętrzną pustkę i niedosyt. Daję im wtedy do zrozumienia, że jest to intuicja

bardzo cenna, jeżeli odbyte studia zdołały otworzyć oczy na obszary naszej niewiedzy. Rzecz paradoksalna: w miarę postępującej specjalizacji po studiach zasadniczych obszar ten nie tylko nie będzie ulegał redukcji, ale raczej jeszcze będzie się poszerzał i ponaglał wyspecjalizowanego uczonego do powtórzenia za starym filozofem: wiem, że nic nie wiem.

Na uczelni osobną satysfakcję niesie z sobą prowadzenie seminariów magisterskich i doktoranckich, podczas których profesor uczy się niesłychanie dużo od swoich uczniów. Od dwu lat działa w ATK w Warszawie sekcja ekumeniczna, studium liczebnie skromne i niepokaźne, ale za to — wśród tej maleńkiej trzódki — tym więcej interesujące i pobudzające.

Dodałbym jeszcze, że ATK nie jest uczelnią zbiurokratyzowaną. Pracowników naukowych w zasadzie nie obciąża się robotą papierkową, bezlikiem bezdusznych posiedzeń, narad czy kursokonferencji. W sumie: samodzielny pracownik naukowy rzeczywiście wie, że jest samodzielny i strukturę studiów w dużym stopniu modelować może sam.

— Jak środowiska zachodnie odbierają polską religijność i teologię?

— Zainteresowanie polskim fenomenem religijnym od lat było duże. Sam organizowałem programy pobytu dla niejednej grypy gości zagranicznych odwiedzających nasz kraj. Pragnęli oni maksimum kontaktów z polskimi wierzącymi i środowiskami uczelnianymi. Niektórzy mówili, wprost, że przyjeżdżają do nas po to, ażeby wiarą Polaków rozgrzać nieco swe wyziębłe serca. Ciekawość ta przerodziła się w żądzę osobistych kontaktowa z żywą i żarliwą wiarą Polaków po wyborze Polaka na tron papieski. Trudno powiedzieć, jakie to treści i wrażenia nasi zachodni goście wywożą z osobistych spotkań na terenie naszego kraju. Bilanse przeprowadzone są z pewnością po powrocie do własnych domów. U nas rozmowy z tymi ludźmi z reguły toczyły się z pasja, bez stosowania jakichkolwiek uników.

Później popłynęła z Polski na Zachód po dziś dzień niepowstrzymana fala emigracji. Dla zapoznania się z religijnym konkretem polskim nasi zachodni bracia już nie muszą peregrynować do Polski. Polską religijność otrzymują bez opakowania i bez paszportu, i wizy z odniesieniem do domu. Przybywającym do ich krajów Polakom z napiętym zaciekawieniem patrzeć zaczęto na palce, śledzić ich ruchy, skrzętnie obserwować ich życie wiary, styl chrześcijańskich postaw i postępowania, jak się modlą, jak pracują... I tu często, a nawet niepokojąco często, dochodzić zaczęło do przykrych i demaskatorskich rozczarowań. W dużej swej części polscy azylanci okazali się miernymi ambasadorami polskiego katolicyzmu, tak wysoko cenionego przez Zachód. Jeszcze silniej zaczęto nam wytykać, a raczej naszej wierze w Boga, kognitywne wypaczenia, przede wszystkim zaś rażące (i odrażające) deficyty życia chrześcijańskiego zniekształcającego wiarę w Boga. Prymitywne i upraszczające formy pobożności ludowej, przebogate misterium mogą rzeczywiście banalizować i rysować karykaturalny obraz Boga. Czy w powstaniu polskiego ateizmu nie uczestniczyli i nie uczestniczą polscy chrześcijanie? — rzucił ktoś mimochodem w czasie dyskusji pytanie i na dowód przytoczył sformułowanie z soborowej konstytucji „O Kościele w świecie współczesnym", która wyraźnie mówi o współwinie chrześcijan w powstawaniu i szerzeniu się ateizmu.

Religijność polską mierzy się jednak na Zachodzie niezmiennie postacią Jana Pawła II. Autentyzm papieskiego posługiwania pozostaje wielkością niekwestionowaną. Często padające pytanie brzmi: skąd ten mąż czerpie tyle siły wiary, nadziei i hartu ducha?

Co do odbioru polskiej teologii, niech wystarczy informacja, że ATK od lat utrzymuje oficjalne partnerskie stosunki z szeregiem znakomitych wydziałów teologicznych RFN. Wymiana profesorów z wykładami gościnnymi jest bardzo ożywiona i przebiega na zasadzie równego z równym; bywały okresy, że liczba polskich wykładowców na uniwersytetach niemieckich przewyższała liczbę profesorów — gości z zagranicy. Obraz byłby barwniejszy, gdyby do skutku doszła

regularna wymiana studentów, ku czemu pierwsze znaczące kroki już uczyniono.

— Jak Ksiądz Profesor ocenia polską religijność w kontekście wyboru Polaka na papieża?

— Jedną z możliwych byłaby optymalna i entuzjastyczna ocena polskiej religijności. Skoro Polska wydała papieża, fakt ten rzutuje i musi rzutować na wysoki standard tej religijności, na jej najwyższy wskaźnik w świecie katolickim. Tak prymitywnym iluzjom na szczęście nikt z nas nie ulega. Pobożność Włochów od stuleci dostarczała kandydatów na tron papieski, z czego dla włoskiej religijności nie wynikało przecież nic. Niemniej zarysowany przez pana w pytaniu problem jest autentyczny i powinien stać się okazją do ogólniejszej i szerszej refleksji. Obawiam się, że zbliżające się dziesięciolecie pontyfikatu Jana Pawła II stać się może okazją do urządzania triumfalistycznych akademii, wieczornic i kazań nie tyle podniosłych, ile wyniosłych. Jawi się natomiast świetna szansa, ażeby w pamiętne to dziesięciolecie gruntownie przeanalizować sytuację i perspektywy polskiej religijności. Kaznodzieje niechby przemyśleli treści i sposób swego przepowiadania. Ileż bólem wypełnionych utyskiwań spod ambony o jego zastraszającym spłyceniu właśnie w ostatnich latach; że z papieża księża często czynią zapchajdziurę dla homilii nieprzygotowanych i dla własnej, z niedouczenia płynącej, ignorancji. Skarżą się słuchacze, że kaznodzieje już nie cytują Pisma św., lecz dowolne urywki z papieskich przemówień lub nawet opowiadają dykteryjki z marginesu apostolskich podróży papieża.

Dla pomiarów religijności danego społeczeństwa nie ma innych parametrów poza nawróceniem, które Jan Paweł II uczynił przecież myślą przewodnią swego przepowiadania. Nawrócenie to, bowiem fundamentalna odpowiedź wiary chrześcijan na zew Ewangelii. Nawrócenie jest momentem konstytutywnym dla początku wiary w Jezusa Chrystusa, jej rozwoju aż po jej pełnię eschatyczną. Ze katolicy polscy ten apel o nawróceniu realizują w stopniu niepokojąco ułom-